

I nagle błoto nie lśni już jak ocean

– Ty jesteś Bobik? – zapytała mnie dziewczyna z sąsiedztwa. Przyniosła koszyk pełen nabiału.

– Mam na imię Pola – wyjaśniłam bez uśmiechu, ale natychmiast wyrosła przed nami mama, witając ją jak starą znajomą.

– Aniu kochana! Dziękujemy! Poznaj Bobika! To właśnie Bobik, o której ci mówiłam! Bobiku, dobra wiadomość! Ania jest naszą sąsiadką!

Z mamy wykrzykników rósł płot mojej wrogości. Jeszcze kilka jej ochów, a zaczną warczeć niczym Kieł.

– Przyszedłeś do nas?

– Czy do Bobika? – Bliźniaki już wisiały na tej całej Ani. Czarny Kieł czule ją obwąchiwał. A tata obwąchiwał przyniesione skarby.

– Cudowności! – Wykazywał taki entuzjazm, jakby w koszyku znalazł samą fasolę.

Na szczęście Ania okazała się całkiem do rzeczy.

Najpierw się ucieszyła, że dołączę do jej klasy. Potem zapytała, czy może chodzić na spacer z bliźniakami. Nie ma

rodzeństwa, a lubi dzieci. Też lubiłam, kiedy nie miałam rodzeństwa! A wreszcie doszła do wniosku, że Pola to fajne imię, ładniejsze od bobu, nawet gdyby bób był różą.

Spodobała mi się. Bliźniakom też. Przykleiły się do niej jak do miodu.

– Będziemy cię woziły naszą kaczką!

– Taczka – wyjaśniłam zdumionej Ani.

– I razem sadzili barbary!

– Rabarbary – sprostowałam.

– A w naszym pokoju wolno dłużyć w nosie – oświadczyła Faselka.

– Ale każdemu w swoim – zaznaczył Groszek, zanim znowu uwiesił się na nowej znajomej.

Ania wydawała się tymi planami wniebowzięta. Zresztą wszyscy poza mną byli wniebowzięci, a mamie to nawet tak zostało do następnego dnia.

– No i jak ci się tu podoba? – spytała rano.

Wodziła zachwyconym wzrokiem po pustym wnętrzu. Trwający remont wcale nie dodawał mu uroku.

– Tu? – Omiotłam przerażonym spojrzeniem łyse ściany i podłogę, którą bliźniaki smarowały właśnie kolorową farbą. Wreszcie spojrzałam na zaróżowioną z przejścia mamę, próbując odgadnąć, co może jej się podobać w tym smutnym domu.

Ale ona najwyraźniej widziała coś innego niż ja.

– Pomyśl, Bobiku! Jakie to szczęście! Mamy własny kąpielownię, własne podwórko, prawdziwy las za płotem, siebie... – Potoczyła po nas rozkochanym wzrokiem i... zachwyty trochę z niej spłynął.

A to dlatego, że Groszek był (zgodnie z naturą tego warzywa) w seledynowej tonacji, a Faselka przypominała buraczane

purée. Nie muszę chyba dodawać, że również podłoga wyglądała jak talerz z rozgotowanymi burakami, w które ktoś powcisnął rozdeptany groch.

– Spokojnie – szepnęła mama do siebie. – Tylko spokojnie. One są po prostu kreatywne... Tworzą własną przestrzeń. Muszę to uszanować...

– Czy kreatywne oznacza to samo co nieznośne? – zapytałam, ale darowałam sobie dalsze złośliwości.

Zwłaszcza że na środek kuchni wypadł uradowany Czarny Kiel. Już nie taki czarny. Trudno powiedzieć, gdzie znalazł puszkę z białą farbą, ale musiał zanurzyć w niej ogon, bo znaczył nim jak pędzlem nowe terytorium.

– Spokojnie, mam – przypominałam. – On też jest kreatywny!

Zostawiłam swoją utalentowaną rodzinę przy wannie z gorącą kąpielą. Podniosłam jeden z kartonów z napisem „Pola” i pomaszero wałam z nim na górę.

Pokój, w którym miałam zamieszkać, był już niemal umeblowany. Wielkie lustro rozparło się na bocznej ścianie. Bez niego nie wyjechałabym z Warszawy. Jest pamiątką po babci Helenie. Wszyscy w rodzinie do dziś wzdychają, że ładniejszej kobiety stolica nie widziała. Zdaniem wuja Antka stolica w ogóle nie widziała babci Heleny. Ciotka Lusja też przebąkuje, że babcia Helena nie opuściła na krok swojego wiejskiego obejścia, taka była tchórzliwa. Ponoć miała także lekkiego zeza, ale na zdjęciach go nie widać. Sama już nie wiem, czy warto na zapas cieszyć się tym „wypisz wymaluj babka Heła!”, które często słyszę.

Po południu łało, więc otworzyłam dziennik.

Zerkam w lustro i myślę z niepokojem, że na razie wdałam się nie tyle w babcię, ile w skoczną narciarską – pisałam szczerze do bólu. – Mam wysokie czoło i zadarty nos, po którym Kamil Stoch mógłby wzbijać się w przestworza. Liczę na to, że kiedyś lustro zmieni zdanie i wreszcie zobaczę w nim rodzinną piękność. Na razie odbija moją skrzywioną minę. Chyba że akurat patrzę na plakat z moim jedynym współlokatorem, Jasonem Barberem. Wtedy wyglądam na osobę niezmiernie szczęśliwą.

Tak naprawdę poza Jasonem głównym wisi na ścianie jeszcze dwóch pomniejszych. Najchętniej wytapetowałabym Jasonami cały dom, ale muszę z ubolewaniem wyznać, że poza mną nikt tu nie docenia tego artysty.

Przed przeprowadzką spisałam z rodzicami umowę: przeprowadzka w zamian za dwa koncerty w semestrze. Tata próbował ściemniać i ograniczyć moje muzyczne życie do jednego. Z oburzeniem zaproponowałam więc inną umowę: ja zaliczam jeden koncert, a on sady jedną fasolę. Natychmiast podpisał się pod dwoma wyjazdami. Kinga będzie zachwycona!

Kinga to moja przyjaciółka, bo to z nią najczęściej się kłócę i najszybciej godzę. Gdy parę miesięcy temu powiedziałam jej o przeprowadzce, popłakała się ze współczucia.

Wzruszona, wytłumaczyłam Kindze, że niepotrzebnie tak cierpi. Będę bywała w Warszawie, a ona wpadnie do mnie, na wieś.

– Ja na wieś? – Poblądła ze zgrozy. – Przenigdy! Normalni ludzie nie wyjeżdżają ze stolicy!

Przypomniałam jej, trochę złośliwie, że jest normalna za ledwie od roku, bo zanim przeprowadziła się na Białołękę, też mieszkała w podwarszawskiej dziurze.

– A poza tym – prychnęłam – to nieprawda, że wszyscy chcą tutaj... Na przykład moi rodzice...

– No właśnie, całkiem im odbiło! – przerwała mi z przerażeniem. – Bardzo mi ciebie żal – dodała, ścierając niewidzialną łzę z kącika oka.

Dlatego dzisiaj skrobnęłam jej szybkiego maila, że jest super. Zrobiłam kilka zdjęć plakatami z Jasonem i pięknemu widokowi za oknem, tak żeby było widać jeziorko. Dołączyłam fotki do listu i dalej w drogę! Niech Kinga zobaczy, jak mieszkam.

Odpisała w kilku zdaniach: „Ojej! Przechlapne! Ten staw tak blisko ze zjedzą cię komry! Sorki, piszę krótk, bo właśnie lecimy na szafing! Potem konc. Jasona! Szkoda, że cię nie będzie. Na szczęście możesz na niego popatrzeć. ☺ PS Te zdjęcia są już stre. PS2 Julk też z nami idzie. Nawet się obciął na Barbra! Nieziemsko wygląda, to pa!”

– To pa – szepnęłam i nagle zaszło słońce. Błoto za oknem już nie lśniło jak ocean, las poszarzał, a krzyki w naszym domu stały się nie do wytrzymania.

– Ciszej tam! – wrzasnęłam z góry.

A kiedy przyszłam zachmurzona do kuchni, dwóch młodocianych malarzy spojrzało na mnie ze zdziwieniem. Trudno. W mojej umowie z rodzicami nie ma zapisu, że zawsze będę zachwycona...

Następnego dnia z samego rana wpadła Ania.

– Zbieraj się! – rzuciła wesoło od drzwi. – Wywalczyłam wolny dzień, żeby ci pokazać Wiśniową Górę. I weź strój kąpielowy – dodała tajemniczo. – Może nam się przyda.

Po co strój, skoro tu nie ma basenu – myślałam, smętnie wlokąc się za Anką.

Zaczęłyśmy zwiedzanie okolicy od wejścia na najwyższe wzgórze. Gdy spojrzałam w dół, wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż z okien mojego pokoju. Korony drzew próbowały ukryć srebrne kleksy jezior i żółte pola w dolinie. Ania pokazała mi miejsce, z którego roztaczał się widok, jaki można zobaczyć tylko na zagranicznych widokówkach.

– Kurczę! – jęknęłam olśniona, robiąc serię szybkich zdjęć. – Muszę koniecznie wysłać fotki Kindze! Czy ja tu naprawdę mieszkam? – upewniałam się, patrząc na mój nowy świat, zatopiony w jasnym słonecznym blasku.

– Miałaś rację. To wyjątkowe miejsce – odpowiedziałam na triumfujące spojrzenie Anki, gdy dotarliśmy do celu naszej wędrówki, jeziora Kryształ. Było dużo większe niż to widziane z okien mojego pokoju. Miało prawdziwą plażę i pomost wchodzący głęboko w ciemną taflę wody.

Czekała nas kąpiel, pachniała łąka, niedbale rzucona workół jak kolorowy dywan. I choć doskwierały okazałe pęcherze na stopach, nie żałowałam, że wreszcie opuściłam dom i podwórko.

Wycieczka zajęła nam pół dnia, bo wieś rozłożyła się nie tylko po obu stronach szosy, ale też ciągnęła szeregami domostw i gospodarstw po porośniętym rumiankami wzgórzu.

Przecinały ją ogrody i pasy małych poletek, zdobiły kolorowe płoty i cieniste szpalery drzew. Dzień był parny, nasiąknięty duchotą i wymarzony na długi spacer.

– Jak w raj! – westchnęłam, moszcząc się w zielonych źdźbłach trawy. – Ale dlaczego jesteśmy tu zupełnie same?

– Wszyscy przecież pracują. – Anię zdumiało moje pytanie, a mnie jej odpowiedź.

– No dobrze... dorośli tak... a gdzie dzieciaki? One chyba nie chodzą do pracy?

– Tak myślisz? – odparła Ania. – W wakacje odpoczywają turyści, nie miejscowi... Co nie znaczy, że na plaży jest zawsze pusto – zastrzegła szybko. – Popołudniami nie wciśniesz tu szpilki. Wszyscy przychodzą nad Kryształ. Cała wioska.

Kryształ lśnił jak prawdziwy diament. Jubilerskim blaskiem. A gdy zanurzyłyśmy się w zimnej, połyskliwej wodzie, poczułam się całkiem u siebie. Kocham wodę. Gdyby można było nurkować w kałużach, nie przepuściłabym żadnej.

Ania czekała na brzegu.

– Świetnie pływasz – pochwaliła efekt moich wieloletnich treningów.

– Ty też nieźle sobie radzisz – odpowiedziałam z uznaniem.

– Od dawna jeździsz na basen?

Roześmiała się.

– Tu jest nasz basen! – Ogarnęła wzrokiem jezioro. – I nie ma żadnego instruktora. Czasami tylko rodzice albo starsze rodzeństwo pomagają w pierwszych lekcjach. Dlatego pływamy byle jak, śmiejemy się, że po warszawsku, tyłkiem po piasku... – Zamilkła na chwilę speszona. – No a ty przyjeżdżasz i nagle się okazuje, że po warszawsku to jakby dużo ładniej niż po naszymu.

Śmiałyśmy się tak głośno, że oburzone łabędzie poszukały sobie innego parkingu.

Ania wyjęła z plecaka kanapki. Nie sądziłam, że lubię chleb z masłem i pomidorem. Ale mógł to być dzień cudów, kto wie? Na wszelki wypadek zrobiłam kilka kolejnych zdjęć. Pokażę Kindze, jak wygląda mój świat w dniu cudów. Może zdarzy się następny i przyjaciółka zechce mnie odwiedzić?

– Jak myślisz? – zapytałam o to moją przewodniczkę, gdy wolno wracałyśmy do domu.

– Na pewno przyjedzie. – Ania wyglądała pociesznie w turbanie z ręcznika. – A jeśli nie będzie chciała, pomyśl, ile straci – dodała z błyskiem w oczach.

I znowu pozazdrościłam Ance, że dla niej wszystko jest takie jasne i proste.

Prawdopodobnie zawsze istnieje rozwiązanie naszych kłopotów – napisałam wieczorem w dzienniku. – Dziś Ania podsunęła mi pewien pomysł co do Kingi i chętnie go wykorzystam. Spróbuję przekonać Kingę, jak wiele traci, odmawiając przyjazdu do Wiśniowej Góry. A jeśli to się nie uda, znajdę inny sposób, żeby ją tu zwabić.

Zamknęłam dziennik nie do końca zadowolona. Myślę, że gdyby Ania przeczytała ten fragment, też nie byłaby szczęśliwa...